

Choloniarki

List otrasy

or

Siv Rejivats

Tarva.

1920.

Od

KO

3930

Pd 3930
80

D1920.1459

LIST OTWARTY

DO

SIR REGINALDA TOWERA

WYSOKIEGO KOMISARZA LIGI NARODÓW
W GDAŃSKU.

GDAŃSK 1920.

ODBITKA Z „DZIENNIKA GDAŃSKIEGO”.

N 1323944



28436

Od - 417/84

NAPISAŁ ANTONI CHOLONIEWSKI
SOPOT POD GDAŃSKIEM, LIPIEC 1920.

Ekscelencjo!

Kiedy przed sześciu laty Anglja wspólnie z innemi ludami Europy wystąpiła do boju z niebezpieczeństwem pruskiem, fakt ten odbił się radosnem echem w sercach milionów Polaków. Nietylko dlatego, że wzmacniało to znakomicie szanse pobicia wroga, który był naszym ciemiężcą. Radość nasza pochodziła takżestąd, że udział Anglji, tego klasycznego kraju wolności i prawa, przedstawiał się nam jako gwarancja, iż powojenna Europa urządzona zostanie na podstawie właśnie tych zasad.

Do radosnego powitania udziału wojennego Anglji my Polacy mieliśmy jeszcze specjalne powody.

Oto wyobrażaliśmy sobie, że Wielka Brytanja będzie podwójnie gorliwą orędowniczką praw naszego narodu ze względu na bliskie powinowactwo kultury politycznej, zachodzące między Anglją a Polską. Był czas, Ekscelencjo, gdy ojczyzna nasza tworzyła najrozleg-

lejsze państwo w Europie. Wtedy jej urządzenia publiczne były powszechnie znane, a jeszcze z końcem XVIII w. Jan Jakób Rousseau miał dla nich wyrazy entuzjazmu i akcentował ich bliskie pokrewieństwo z duchem angielskim. Z upadkiem państwowości naszej poszło to w niepamięć. Ale my sami pamiętaliśmy, że wśród tylu narodów właśnie Polska wykazuje uderzająco wiele wspólnych punktów z wspaniałą ideologią polityczną Anglików.

Naród angielski spogląda z dumą na kontynent. Wszystkie nieomal państwa — z wyjątkiem paru miejskich republik — przeżyły tu ostatnie stulecia w kleszczach absolutyzmu, w skrępowaniu osobistej i obywatelskiej wolności, w poniżającej zależności od autokratów. Na tem tle lśni jako dumny wyjątek Anglja, kolebka prawa jednostki, ojczyzna parlamentaryzmu, kraj najwcześniejszych swobód. A obok niej jeszcze tylko jedno państwo i jeden naród — Polska. Nasza i Pańska ojczyzna, Ekscelencjo, widnieją przez ciąg stuleci wśród oceanu najczarniejszej reakcji niby dwie samotne wyspy wolności.

Aby to unaocznić, wystarczy wskazać na parę przykładów.

Póki trwać będzie Wielka Brytania, będzie obywatel angielski szczyił się swą wiekopomną ustawą „Habeas corpus“, ubezpieczającą w r. 1679 wśród najsroźszej samowoli w reszcie Europy nietykalność osobistą, którą brała w opiekę już Wielka Karta Swobód r. 1215. Ołóż ma swój akt „Habeas corpus“ i Polska: jej duch po-

lityczny wydaje w r. 1425 ściśle analogiczną gwarancję obywatelską w ustawie zasadniczej „Neminem captivabimus, nisi jure victum“. Ma Polska podobnie jak Anglja przedziwnie wczesnie cały szereg takich zabezpieczeń prawnych. Już w XV i XVI w. zna nietykalność ogniska domowego, nietykalność mienia, swobodę przekonań, przestrzeganą tak skrupulatnie, że próbę ukrócenia ich ściagało prawo jako zaburzenie publicznego porządku. Myśmy znali i praktykowali te wspaniałe zasady o trzy i pół wieku dawniej, niż Prusy, Austryja i Rosja, które zbójeckim napadem zniszczyły nasze państwo.

Nie tak wczesnie, jak Anglja, lecz znowu wczesniej o całe wieki od innych narodów kontynentu, a nade wszystko od swych późniejszych ciemieców, rozwinęła Polska parlamentaryzm i jego naczelną zasadę prawną, że źródłem norm, regulujących życie publiczne, jest wola narodu. Orzeka to u nas ustawa zasadnicza „Nihil novi“ z r. 1505. Sejmy polskie, jako jedyne źródło prawa w państwie, obradują przez trzy odtąd stulecia, gdy w Europie — poza Anglją — rządzi najbrutalniejsza autokracja. W Gdańsku, o którego losach masz decydować, Ekscelencjo, we wspaniałym starożytnym ratuszu znajduje się dotąd pamiątkowy misterny zegar, dar nieszczęśliwego króla Stanisława, który w uznaniu powyższych faktów wyrzekł pamiętne i w ustach monarszych niezwykle słowa, iż „większy honor panować narodowi wolnemu, niż niewolnikom“.

Gdy zapuścimy się w szczegóły urzędzeń publicznych w Anglii a w naszej ojczyźnie, znajdziemy wiele jeszcze wspólnych lub pokrewnych instytucyj, zwyczajów i pojęć prawnych. Godny uwagi jest fakt, że aż do czasów francuskiej rewolucji tylko w angielskim i polskim wymiarze sprawiedliwości istniała nowoczesna zasada jawnego postępowania, ustnej rozprawy, oskarżenia i obrony. Gdy w innych krajach panowała długo jeszcze procedura inkwizycyjna, Anglja i Polska zdobyły się oddawna na zastąpienie tych posępnych średniowiecznych pojęć i praktyk nowemi, zgodnemi z duchem postępu. W jednym i drugim kraju: ten sam instynkt praworządności, to samo zabezpieczenie swobody jednostki, ten sam wstręt do przymusu, ta sama niechęć do zmechanizowania człowieka w państwie.

Niezawodnie, po za temi cechami wspólnemi są rozbieżności. Anglja jest narodem kupieckim i morskim, z nas dzieje uczyniły lud przedewszystkiem rolniczy i rycerski, a z tych różnic musiały wyniknąć konsekwentnie dalsze i liczne różnice charakterów. Lecz powinowactwo występuje w dziedzinie najważniejszej chyba ze wszystkich, jakie mogą łączyć lub dzielić narody, w dziedzinie zasadniczego poglądu na świat i życie: w sferze politycznej ideologii. I dlatego właśnie sądziliśmy, że naród angielski, odniósłszy wraz ze sprzymierzeńcami zwycięstwo nad pruską reakcją, tem chętniej poda rękę Polsce dla zabezpieczenia jej życiowych konieczności.

Nadzieje te nie dopisały. Pomiędzy Polską i Anglią stanął mur wrogich nam wpływów i intryg a nie na ostatniem miejscu fałszywych o nas relacyj, dostarczanych ze źródeł zostających pośrednio lub bezpośrednio na usługach Berlina. Praktyczne rezultaty tego stanu rzeczy są znane. W szeregu najżywotniejszych dla nas spraw przedstawiciele rządu angielskiego zajęli stanowisko dla Polski nieprzychylnie. Straciłszy z tego powodu dużo: wymienimy tylko Śląsk Górny, który pomimo bezspornie polskiego charakteru i początkowego przyznania go Polsce puszczonej został na mętne fale walk plebiscytowych, oraz — Gdańsk. W społeczeństwie polkiem, które tyle nadziei przywiązywało do zwycięstwa Anglii, począł gromadzić się osad goryczy wraz z poczuciem, że spotyka je niepojęta, niczem nie dająca się objaśnić krzywda z rąk, z których najmniej można jej było oczekiwać.

Jednostki najbardziej rozgoryczone były tłumaczyć niespodziewane zjawisko tem, że Anglicy świadomie poświęcają słuszne prawa Polski dla materialnych korzyści własnych, ponieważ są, jak wiadomo, kupcami. Jednakowoż Polska nie przyjęła tego wyjaśnienia. Pomijając to, że być kupcem nie znaczy jeszcze handlować wszystkim, wiadomo nam, że w Anglii za najwyższy typ człowieka uważany jest specyficznie pojęty napół rycerski typ dżentelmena, który postępuje zawsze zgodnie z głoszonymi przez siebie zasadami.

Pomimo wszystko, co wskutek machinacyj żywiołów nam wrogich spotkało nas nieprzychylnego ze strony

Anglii, widzimy w niej nadal świetną kolebkę najstarszej w Europie kultury wolności, tej kultury, którą jak parę przytoczonych na wstępie przykładów zaświadcza, reprezentowaliśmy my również, zanim przyszło nam paść pod razami pruskich i moskiewskich despotów. Polska, powstająca z martwych, pragnęła przyjaźni Anglii i dorosła do niej ponad wszelką wątpliwość. Była, o ile chodzi o ducha urzędzeń prawnych, Angją wschodu. Po upadku kontynuowała swą rolę dziejową w całym szeregu walk o wyzwolenie własne i cudze. Pracowała w ten sposób na korzyść powszechnej wolności. Nienawidzący nas historyk pruski Treitschke stwierdza wszak z nieukrywaną pasją, że około połowy XIX w. „*cywilizacja Europy, według ówczesnego przekonania, walczyła pod sztandarem Białego Orła*“. A więc przyjaznego współdziałania ze strony najlepszych przedstawicieli rasy angielskiej jesteśmy warci. Odwołujemy się po to współdziałanie do Anglii, spadkobierczyni wielkich tradycji, do Anglii dżentelmenów, do Anglii, która sprzedaje towary, ale nie narody i idee.

* * *

Na losach naszych ma znowu zaważyć głos angielski i to głos Pański, Ekscelencjo. Mamy na myśli aktualną w tej chwili sprawę niewymiernej dla nas doniosłości — ułożenia form stosunku Gdańska do Polski. I o tej sprawie słów parę.

Opowiadają — a opowieść ta doszła zapewne i do Pańskich uszu, bo notowano ją parokrotnie w prasie — jakobyś Pan w jednej z przygodnych rozmów politycznych wyraził się, iż Polska może sobie rościć do Gdańska tyleż uzasadnionych praw, co nie przy mierzając — Japonja. Nikt rozsądny nie może ani na chwilę traktować poważnie tej śmiesznej plotki. Jest oczywistą rzeczą, że nadużyto tutaj Pańskiego imienia. Mógł to uczynić naturalnie tylko Niemiec. I trzeba przyznać, że owa kapitalna niedorzeczność doskonale pasuje do znieprawionej przez długoletnie wychowanie nacjonalistyczne duszy niemieckiej, która pomimo strasznej nauki dziejów niczego się dotąd nie nauczyła... Że Gdańsk został Polsce zrabowany przed stu kilkunastu laty, że los jego w ciągu XIX wieku był następstwem zbrodni, o tem przeciętny Niemiec nie chce wiedzieć lub wręcz nie wie, gdyż tego mu nie powiedziała szkoła pruska, która zbójceckie praktyki Hohenzollernów sławiła jako czyny mądrości. Niemiec przeciętny gotów nawet zupełnie szczerze wyobrazić sobie, że Polska naprawdę ma niewiele więcej podstaw domagać się dla siebie Gdańska, niż egzotyczna Japonja! *

Zważ Ekscelencyo, jak niesłychanie ogłupiano ten nieszczęsny naród w koszarach, które się nazywały państwem niemieckiem!

Wystarczy przecież rozejrzeć się z lotu ptaka nad okolicą tego miasta, aby pojąć, jak skończoną niedorzeczność związało zuchwalstwo niemieckie z powagą Pańskiego imienia.

Gdańsk tworzy z Polską idealnie spójną organiczną całość, gdyż zamyka ujście do morza naszej głównej arterji rzecznej, Wisły. Gdańsk łączy się bezpośrednio z polskim obszarem językowym. Gdańsk ciągnie swoje soki żywotne naturalnym porządkiem rzeczy z polskiej gleby. Oto trzy fakty leżące na wierzchu, które przecież najbardziej nawet wszechniemieckim szowinizmem ogłuszony mózg mógłby z łatwością sprawdzić, zanim zaryzykował porównanie naszych pretensyj z ewentualnymi pretensjami — Japończyków. Pójdźmy do pierwszych wiosek tuż pod murami miasta, do Matarni, Brentowa i innych. To polskie wioski. Nie trzeba zresztą i do nich chodzić — wystarczy sięgnąć do przedmiejskich dzielnic Gdańska, do Siedlic, czy Oruni, aby bez trudu odkryć pod niemieckim pokostem ulicznym gęste osiedlenia Polaków, których dziadowie mieszkali tutaj już przed tysiącem lat.

To są rzeczy namacalne. A teraz te, o których nawet najbardziej zapalony patriota wszechniemiecki powinienby i mógłby wiedzieć, gdyby przykrojona do utylitarnych a zarazem nikczemnych celów nauka nie zapełniła jego mózgu trocinami nikczemnych kłamstw i równie nikczemnych przemilczeń.

Od prapoczątków istniał Gdańsk jako gród lechicko-pomorski. W XIII wieku linja jego rozwoju załamała się wskutek zdradzieckiego napadu niemieckich rycerzy krzyżowych i wynikłej stąd 150-letniej niewoli, która przy użyciu sromotnych gwałtów wycisnęła na podbitem mieście silne piętno niemieckie. Piętno to poczęło

ustępować z chwilą, gdy Gdańsk, któremu ducha krzyżackiego nie zdołano zaszczepić, korzystając z pierwszej pomyślnej sposobności, powrócił dobrowolnie do Polski. Miasto ukształtowało się ostatecznie w ciągu ponownego należenia do starej ojczyzny w XV, XVI, XVII i XVIII w. jako dwujęzyczne, a głęboko i rdzenie polskie pod względem sentymentu politycznego. Pomnikiem tego pozostało do dziś ogromne bogactwo pamiątek historycznych, noszących na sobie cechy przywiązania mieszczaństwa do polskiej Rzeczypospolitej. Najwięksi ludzie, jakich Gdańsk wydał w ciągu kilku stuleci, wielki astronom Heweliusz, poeta Dantyszek, artyści-rysownicy Jeremiasz Falk i Chodowiecki, znakomity historyk i prawnik Lenglich, podobnie jak wszyscy mieszkańcy przez szereg stuleci do końca istnienia państwa polskiego i później jeszcze — aż do sztucznego sprusaczenia miasta — czuli się Polakami, najwierniejszymi synami polskiej ojczyzny, choćby używali niemieckiego języka. Podczas drugiego rozbioru Polski, gdy Fryderyk II rozbójniczą ręką sięgnął po Gdańsk, ludność wystąpiła przeciw napaści zbrojnie i przelaną krwią zaświadczyła, że jest i chce pozostać polską.

Dzisiejsza niemieckość Gdańska, wyhodowana podczas stuletniej inwazji pruskiej, jest wynikiem z jednej strony forsownego gromadzenia Niemców i stosowania wobec nich bezwstydnego protekcjonizmu, z drugiej strony gwałtów, praw wyjątkowych i prześladowań, dokonywanych na Polakach. Osiągnięta temi środkami

supremacya nie może być uznana za miarodajną. Mrowie napływowej biurokracji i elementów osiedlonych tu sztucznie w celach germanizacyjnych nie jest wyrazem istotnych interesów i woli miasta.

Ustalenie dzisiejszej plemiennej fizyognomji Gdańska jest sprawą niełatwą i nader skomplikowaną. Aby znaleźć się jaknajbliżej prawdy, należy wziąć pod uwagę następujące fakty:

W chwili zajmowania przez Prusy w r. 1793 Gdańsk liczył około 50% ludności mówiącej językiem polskim, jako ojczystym. Ile się z tego odsetka zachowało podczas strasznych stu lat pruskich rządów, tego niepodobna określić z przybliżoną bodaj ścisłością. Najbezwstydniejsza ze statystyk świata — pruska, która dla utylitarnych celów państwowych umiała wymyślać zgoła nieistniejące narodowości, wmówiła w świat, że w Gdańsku jest tylko 3% Polaków. Tej śmiesznej i bezczelnej cyfrze przeciwstawili Polacy na podstawie własnych mozolnych zestawień około 12%. Ale to są tylko Polacy, żeby tak rzec, zdecydowani, mający hart przyznawania się do swej narodowości naprzekór przeciwnościom losu, ludzie, którzy zdołali w sposób nieomal bohaterski robnić swe narodowe „ja” w prześladowczej, ciężkiej, a nadewszystko deprawującej atmosferze pruskiej. Od owych murowanych niejako 12% nie zaczyna się jednak jeszcze bynajmniej niemczyzna. Zanim bowiem dotrzemy do punktu, w którym stoi w Gdańsku prawdziwy Niemiec, musimy przejść jeszcze przez bardzo liczne odmiany

pośrednie, nad których skwalifikowaniem nauka mogłaby się głęboko zadumać, a które są specjalnością znacznej części polsko-niemieckiego pogranicza. Wypadłoby zatem wstawić w ten pomost między polszczyzną a niemczyzną Gdańska Polaków, nie przyznających się jawnie do swojego społeczeństwa dla miłego chleba z powodu zawisłości od Niemców, Polaków uwikłanych w związki rodzinne z Niemcami i poddanych przez to silnie wpływowi niemczyzny, Polaków używających w domu języka niemieckiego częściowo lub wyłącznie, „Niemców“ którzy potrafią porozumieć się resztką koślawej polszczyzny, zapamiętanej z domu rodzicielskiego, „Niemców“ mających pod murami Gdańska na wsi czysto polskie rodziny itd. itd. Ci wszyscy ludzie, tworzący niezliczone odcienia przejściowe, tworzą olbrzymi specjalny, a dla człowieka postronnego niemożliwy do dostrzeżenia odłam „niemczyzny“ Gdańska. Oni sami podają się oportunistycznie za Niemców i za takich zapisuje ich z radosnym triumfem statystyka urzędowa. Są to produkty procesu ścierania się w nierównych warunkach dwóch sąsiednich narodów. Gdyby w Gdańsku zapanowała Polska, wówczas te odpadki polszczyzny powróciłyby w najkrótszym czasie do nas.

Tę kategorię możemy najskromniej policzyć na 15—18% ogółu mieszkańców. Czyni to z poprzednio wymienionymi 12% Polaków — 30%. Czy reszta to już nieposzlakowani Germanie? Bynajmniej. Przejdźmy się tylko ulicami miasta, zwłaszcza po jego wąskich

przedmiejskich zaułkach, gdzie mieści się drobny handel, czy drobne rzemiosło, a uderzy nas niezliczona moc polskich nazwisk na godłach firmowych. Tu i ówdzie będą to Polacy, ale w przeważającej masie osobliwego autoramentu „Niemcy“, którzy nigdy do tego słowiańskiego kraju nie przyszedli, gdyż zawsze tu byli. Jest to *prastara polska ludność gdańska*, która w ciągu stulecia uległa germanizacji. Ludzi tych przywykliśmy uważać za bezwarunkowych Niemców. Czy słusznie? Czy istotnie Polska nie ma tu żadnych praw? Wobec zmiany narodowości z wolnego wyboru milkną wszelkie rekryminacje. Spytajmy jednak, jak powstała niemieckość niezliczonych gdańskich „Sawatzkich“, „Dombrowskich“, „Sakrzewskich“ i „Olschewskich“. Oto odcięciem od źródeł polskiego życia, hodowlą jednostronności, kłamstwem, obalamuceniem, oszczerstwem, zatajeniem prawdy. Ci nieszczęśliwi ludzie, którzy nawet własnego spodlenia nie są świadomi, których przemoc zrobiła niejednokrotnie wrogami własnych ojców i dziadów, to znowu pokażny odłam „niemieckiego“ Gdańska!

Napróżno pruskie i nastrojone przez Prusaków trąby usiłują Gdańsk obwołać miastem germańskiem. Wszystko temu przeczy: i historia i przyroda i skład ludności. Wśród tej ostatniej, obok kolonistów niemieckich, którzy osiedlili się u ujścia Wisły, i obok Polaków, których zmieść z powierzchni nie zdołała nawet wściekłość fali krzyżackiej, są w ogromnej masie *Polacy wynarodowieni przez ucisk*, a prawa do tych ostat-

nich nie powinien nam konsekwentnie zaprzeczać nikt, kto wyznaje elementarną zasadę publicznego porządku, że *rabunek praw nie daje*.

Germańska złość chciałaby nam przysądzić w Gdańsku, na prastranej ziemi polskiej, te same prawa, jakieby tu mogła arrogować dla siebie Japonja. Otóż pod jednym względem chcemy tu być tem, czem byliby w naszym położeniu napewno synowie dalekiego wschodu. Jak wiadomo, jest u Japończyków rozwinięty w stopniu wyjątkowo wysokim kult przodków. Nad Gdańskiem dzisiejszym, sprusaczonym i splugawionym przez długoletnie panowanie siły nad prawem, unoszą się duchy wielkich obywateli miasta, którzy nie znali innej ojczyzny prócz polskiej, duchy patriotycznie po polsku czującego mieszczaństwa całego szeregu wieków, oraz Gdańszczan, pomordowanych ręką krzyżacką. W r. 1308 niemieccy rycerze krzyżowi, opanowawszy Gdańsk, wycięli w pień 10 000 polskiej tubylczej ludności miasta, „nie przepuszczając niemowlętom“, co stało się w owe czasy na długo „europejskim skandalem“. Ten mord masowy — to były pierwsze podwaliny pod niemieckość Gdańska.

Cóż uczyniliby na naszym miejscu Japończycy, słynni z kultu przodków, a z którymi nas w Gdańsku porównano?

Nie zapomnieliby o pomordowanych praojcach.

I my nie zapomnimy!

Czy wyparliby się tych praw, jakie napastnik chciał

zabić wraz z ludźmi, którzy je reprezentowali? Z pewnością nie.

I my się ich nie wyprzemy!

* * *

Traktat wersalski wypowiedział w sprawie gdańskiej swe twarde słowo, któreśmy wszyscy Polacy uczuli, jak uderzenia pięścią. Lecz rozumiejąc zbyt dobrze, czem jest dla Polski to jedyne jej naturalne wyjście na morze, zastrzegły nam mocarstwa sprzymierzone uroczyście szereg koniecznych w Gdańsku uprawnień: w żegludze morskiej i Wiślanej, w komunikacji kolejowej i telegraficznej, w cle i reprezentacji zewnętrznej, w równouprawnieniu wreszcie Polaków na obszarze wolnego miasta. Chwila skodyfikowania i ostatecznej sankcji tych strzępów naszych praw zbliża się.

Ale na przygotowania do niej patrzymy my Polacy pomorscy z żywym niepokojem.

W szczególności trudno ukryć niepokój na widok otaczających Pana „ciceroni“, zrekrutowanych z najwierniejszych sług starego pruskiego regim'e'u. Siłą faktów nasuwa się obawa, że oglądasz, Ekscelencjo, Potemkinowskie miasto, którego dekoracja zakrywa rzeczywistość głębszą i trudniej dostrzegalną. Wskazaliśmy pobieżnie na kilka walorów, o których wszechniemiecy rządcy Gdańska napewno nigdy Panu nie mówią. Ale prócz nich jest jeszcze jeden, który na zakończenie pragniemy jaknajbardziej podkreślić, dobitniejszy a dla piastunów pruskiej tradycji o wiele drażliwszy

od wszystkich popełnionych w Gdańsku zbrodni krzyżackich, od niewygodnych faktów gospodarczych, geograficznych, historycznych i etnograficznych. Oto prawdziwi niemieccy Gdańszczanie, tworzący obok Polaków starą ludność miasta związaną z niem trwałymi węzłami, chcą należeć do Polski!

Wystarczy obcować przez pewien czas zbliżona i ściślej z tą rzeczywiście reprezentatywną kategorią ludności niemieckiej, z posiadaczami różnorodnych warstwatów pracy, z kupcami, rzemieślnikami, przedsiębiorcami, aby usłyszeć dużo razy wypowiedziane pragnienia przyłączenia się do Polski i opinię, że taka jest konieczność życiowa. Słyszcy się to w Gdańsku, w Oliwie, w Sopocie i w innych znaczniejszych centrach „wolnego miasta”. Głęboko w dole pod powierzchnią gdańskiego ratusza, w średnich i niższych warstwach, wśród właściwego ludu gdańskiego, niema zgoła wrogiego dla Polski usposobienia. Jest tam tęsknota do tego, aby móc żyć, pracować i zarabiać, a na tle tego „*primum vivere*” raczej pożądanie szerokiego oddechu gospodarczego ku Polsce, niż niechęć do niej. Czasem nadspodziewanie spotyka się tu przypomnienie, że Gdańsk był bogaty i szczęśliwy, gdy był złączony z Warszawą i nagle słyszcy się konkluzję, że „to musi wrócić”. Ale steroryzowana przez będący ciągle u steru hakatyzm i niepewna jutra, nie śmie ludność ta zabrać głosu publicznie.

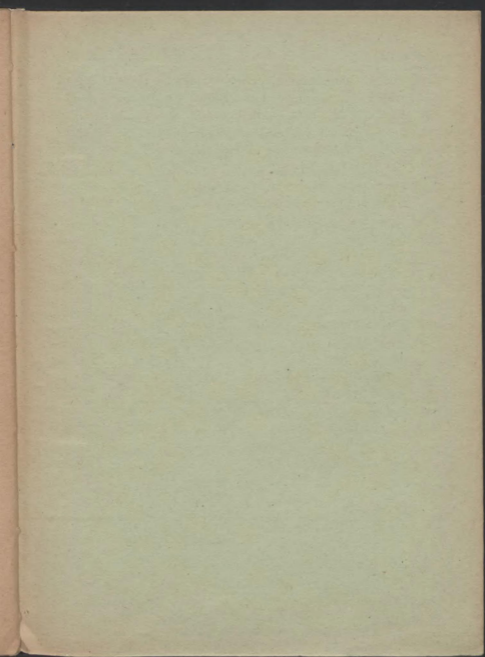
To, czego pragnie w głębi duszy prawdziwy nie-

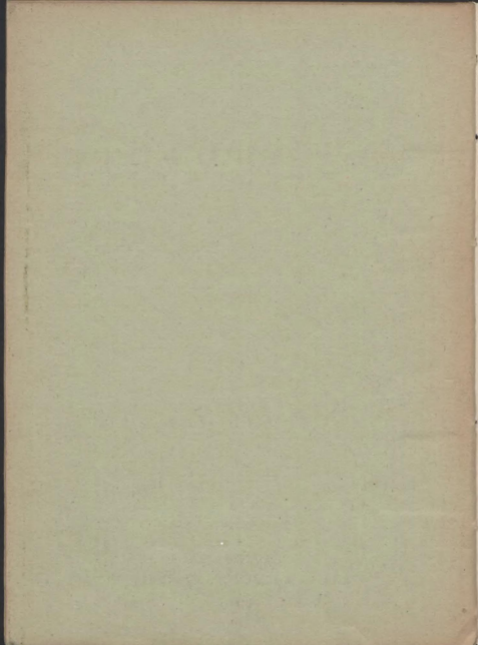
miecki Gdańszczanin, czego domaga się Polska i logika rzeczy, stanie może jutro znowu na porządku dziennym. . . Na razie aktualną jest sprawa konwencji. I z tą sprawą wiążemy niniejsze uwagi. Gdy coraz częściej kolportowane są niepokojące wieści, że przedstawiciel Ligi Narodów pod wpływem wszechniemieckich suflerów skłania się ku temu, aby węzły, jakimi Rada Najwyższa zamierzyła spoić zakątek gdański z jego dawną macierzą, raczej rozluźnić, niż zacisnąć, gdy z łatwo dających się odgadnąć źródeł sący się uporczywie pogłoska, że przedstawiciel Ligi Narodów nie uznaje słusznych praw naszych nawet w tej minimalnej mierze, jaka określona została w traktacie wersalskim, zwracamy się do Pana, Ekscelencjo, z tą garścią wyjaśnień, jako do zastępcy zorganizowanej woli międzynarodowej, lecz także i przedewszystkiem jako do Anglika.

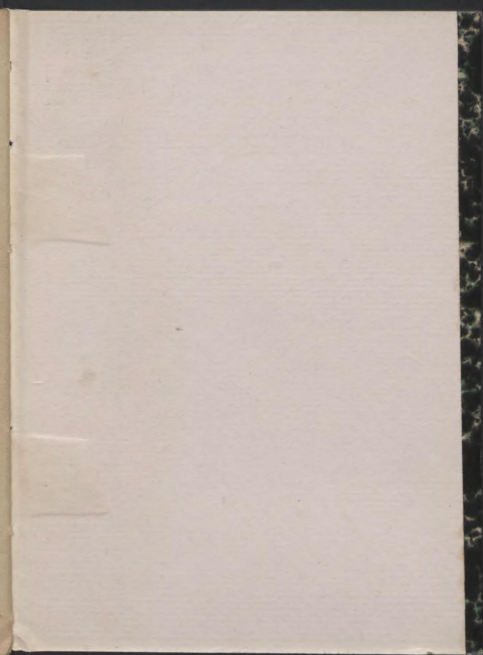
Miej Pan wspaniałą ambicję wznieść się nawet w polityce na wyżyny sprawiedliwości i honoru, jak przystało dżentelmenowi!

Niechaj niemiecki Mefisto nie ma możliwości wybuchnąć piekielnym śmiechem, że polskie prawo życia, którego Prusy nie potrafiły zamordować, otrzymało cios z ręki Angliji!

REDAKCJA „DZIENNIKA GDAŃSKIEGO“.







[Blank paper label]

Q. BIBLIOTECA

C. BIBLIOTECA